# TYGODNIK
# POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

| DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ" | DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ" |
|---|---|
| W Stanach Zjednoczonych i Canadzie ............$1.00 | W Stanach Zjednoczonych i Canadzie ............$2.00 |
| Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50 | Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50 |

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 37. *Chicago, Ills., 10 Marca, 1887 r.* Rok III.

# BOŻA OPIEKA

## POWIEŚĆ

### OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

*J. I. KRASZEWSKIEGO.*

(Ciąg dalszy.)

Niespodzianie wpadłszy do domu Brzeski nie znalazł nikogo oprócz Maciejowej, dawnej gospodyni kanonika, która tu wróciła, umiejąc się siostrze zalecić. Poszedł do swej izby.... i legł na łóżko, potrzebował się rozmyśleć i wypocząć..

Chociaż później wróciła do domu żona, nie zaglądała do niego, zaniesiono mu jeść, przeleżał tak cały dzień do nocy się nie ruszając.. Sen go naostatek zmorzył. Pani Brzeska zajrzała pod wieczór, co się z nim dzieje, i zobaczyła go wyciągniętego na łóżku, a chrapiącego strasznie.... Była to godzina jej modlitw, poszła je więc odprawiać sama, bo tego dnia nie miała zwykłych towarzyszek, a Maciejowa wcześnie spać się kładła.... Już klęczała u ołtarzyka, gdy od izby mężowskiej doszły ją jęki i jakby dwa różne głosy.... Chociaż dwie ściany przedzielały izbę tę, w której klęczała, od sypialni wśród ciszy nocnej słychać było wyraźnie, jakby kłótnię i wrzawę. Przerażona tem kobieta, gdyż nikogo wchodzącego nie słyszała, zerwała się od modłów, otworzyła drzwi jedne i drugie i stanęła w progu mężowskiego pokoju. Brzeski leżał, jak wprzódy na łóżku, ale się rzucał i przez sen gadał....

Tekla stanęła jak wryta i słuchała....

Wyrazy, które się z ust śpiącego wyrywały, były jakby odpowiedziami na zapytania... milczał chwilę, potem głosem żałości pełnem odezwał się jak winowajca indagowany....

— Krwi nie mam na sumieniu.... nie zabiłem go.... nie chciałem.... Nie zmazałem się krwią niewinną... Panie, ulituj się i przebacz...

Winien ten, co mnie do występku namówił, co mnie do tego kusił....

Przebacz, o panie, grzesznej duszy mojej....

I przez sen bił się w pierś, aż jęczało w niej.

— Chcą, żebym im go wydał.... Ja wiem, co z nim uczynią. Hurda posadzi go do lochu, i powoli głodem go umorzą.... Lecz jakże go ocalę.... Ty widzisz, Boże, iż mi cięży, com popełnił, a nie chcę grzeszyć więcej.. Pomóż mi panie, dźwignij, ratuj! ratuj! ratuj!

Ostatnie trzy wyrazy coraz głośniej wykrzykiwał Brzeski, aż się na ostatek zbudził i porwał i siadł na łóżku.. W mroku ujrzał stojącą na progu żonę i przeraził się, począł wołać: kto tam? gdzie jestem! gdzie?

— Uspokój się! przeżegnaj! ja to jestem — odezwała się żona — Bóg z tobą.... Co ci jest? męczyłeś się strasznie we śnie....

— I mówiłem co przez sen? -- zawołał przelękły Brzeski.

— Powiedziałeś wszystko, coś miał na sumieniu, a o czem ja i tak zdawna wiedziałam — spokojnie poczęła kobieta.... — Pan Bóg chciał, bym była tu i w porę jeszcze zakląć cię mogła; Adamie, nie gub duszy Twej! błagam cię, umyj ręce od grzechu, zrzecz się spólnictwa z nieprawym.... Gińmy lepiej, niżelibyśmy dla marnej godziny na tym świecie zbawienie sprzedawać mieli..

Tak mówiąc uklękła zapłakana.

— Kobieto — zawołał Brzeski — jeźli wiesz wszystko.. powiedzże mi, jak siebie i.. dziecko ratować mam.... A co pomoże, iż ja ręki nie podam? albo on siepaczy i najemników nie znajdzie?

— Bronić trzeba dziecięcia — poczęła Brzeska — nie dosyć odstąpić od współudziału w zbrodni, obowiązek jest jej zapobiedz....

Brzeski zwlókł się z posłania i ciężkiemi nogami kląkł a raczej rzucił się na kolana przy łóżku.. Oboje zaczęli się modlić głośno.. grzesznik był nawrócony.

---

Od dwóch już dni stara biedna kobieta chodziła płacząc po mieście od domu do domu, dopytując się o chłopca, który służył u Materskiego, a od niego się oddalił; wyszedł, jak powiadano, ze znacznemi pieniędzmi, udając się do kupcowej Salomonowej, i odtąd go już nie widziano. Krok w krok szukając jego śladów, wieśniaczka powlokła się do kupcowej i dowiedziała się tam, iż Janek u niej był w istocie, że się umówił z nią o dozór nad dziećmi, pieniądze i łańcuch u niej w depozycie zostawił, ale się więcej nie pokazał... Bramiński, do którego poszła także, zapewniał, że u niego tego dnia nie był, do Materskich nie wrócił, w ulicy nikt go nie widział. Znajomą będąc z Maciejową od dawnych czasów, Hruzdzina zawlokła się płakać do niej i lamentować..

— A moja pani, dobrodziejko moja! — zawołała rzucając się na ławę w kuchni — po cóż mi się już żyć zdało, kiedy go oczy moje nie zobaczą!! Widać ludzie źli dowiedzieli się o tych nieszczęśliwych pieniądzach, co mu tam ta pani jakaś na drodze dała, i choć ich już pono nie miał, bo je u kupcowej złożył.. zabili go pewnie przez chciwość!

Maciejowa jakoś chłodno to brała bardzo....

— Ależ to nie może być — rzekła — w biały dzień.. nie byłby tak głupi, żeby się dać tak wyprowadzić.. I gdzieżby zbójcy czas mieli dowiedzieć się, zasadzić..

— A cóż z nim się stało?

— Któż to może wiedzieć — westchnęła Maciejowa — Jejmość się módl do św. Antoniego Padewskiego.... daj na mszę.. chłopiec, choć go głupim nazywali, wcale był roztropny... nie dałby on się tak wziąć. Może się gdzie zawieruszył.. może gdzie zapędził? kto to może wiedzieć.. Przecieżby uchowaj Boże takiego nieszczęścia, jakiś ślad się znalazł.

Hruzdzina jednak, mimo tych perswazyj i uwag płakała i zanosiła się, ciągle powtarzając, że tego nie przeżyje.. Słysząc te szlochy wyszła do niej i pani Brzeska, uwiadomiona już znać o wszystkiem, starając się kobiecinę pocieszyć.. mało to wszakże pomogło..

Drugiego dnia wieczorem, już o swej sile nie mogąc się dowlec do Prądnika, Hruzdzina przysiadła się na wóz sąsiada, który ją złamaną tem nieszczęściem do domu odwiózł.

Gruchnęło tedy po całem mieście, w którem wczoraj o nadzwyczajnem szczęściu chłopca rozpowiadano, iż go już nie stało, i znać źli ludzie ułakomiwszy się na dukaty, których lik znacznie powiększono, gdzieś dziecko niedoświadczone zawlekli i zabili.

Szczególniej Materski głośno z tego powodu wykrzykiwał przeciwko niedbalstwu i nieładowi panującemu w mieście, w którem bezpieczeństwa nie było.. Pani Salomonowa świadczyła, iż trzysta czerwonych złotych z łańcuchem zostawił u niej rano, że poszedł był tylko na miasto mając wieczorem powrócić, a więcej go już nikt nie widział.. Domyślali się niektórzy, iż mógł do Wisły się pójść kąpać i utonąć. Trafiały się często podobne wypadki. Do trzeciego dnia słaba jeszcze jakaś była nadzieja, ale i ta znikła, gdy pomimo poszukiwań, które gorączkowo i zapalczywie robił Materski, nic odkryć nie potrafiono.. Hruzdzina gorzko swe dziecię opłakiwała.... Najgorliwiej pono jednak ze wszystkich krzątał się pan Podskarbic, mąż ex-wojewodzinej, z niewiadomych powodów, a jak sam mówił, dla tego, iż Jejmość to chłopię sobie upodobała. Wysłał on na zwiady swoich dworzan, Brzeskiego, naznaczył nawet nagrodę temu, ktoby poszlakę jaką znalazł, co się z chłopcem stało. Nic i to nie pomogło, zauważono tylko, iż w skutek tych niefortunnych poszukiwań, czy z innych niewiadomych powodów, Brzeski, który był prawą ręką pana i od tak dawna w skarbie tym służył, zażądał uwolnienia od obowiązków. Człowiek już podżyły, przytem kaleka na nogę, miał zupełne prawo odpocząć, tembardziej, iż sobie grosza przysporzył a i spadek po kanoniku coś znaczył.. Ponieważ majętności, mimo za mąż pójścia ex-wojewodzinej, do niej samej jeźli nie w rzeczy to z imienia należały, Brzeski oznajmiwszy się samemu panu, który go zfukał i za drzwi wypędził, pojechał do rezydencyi dla zdania rachunków i pożegnania pani, miał bowiem najmocniejsze postanowienie, rzucenia tych ciężkich obowiązków. Dnia tego, gdy wyruszył z Krakowa, trzy razy po niego Podskarbic przysyłał, ale go naprzód sługa nie zastał w domu, potem już był wyjechał.

Sama pani, która rzadko Brzeskiego widywała, nie lubiła go też wcale, równie jak całe jej otoczenie. Znano go z niewolniczego posłuszeństwa panu i lekceważenia dziedziczki. Dwór dzielił się oddawna na dwa wybitne i prawie nieprzyjacielskie obozy, pana i pani. Z każdym dniem walka między nimi rosła. Brzeski stawał zawsze jeźli nie jawnie to skrycie za Podskarbicem.. a że był zręczny i wykrętny, równie się go obawiano, jak nienawidzono....
Bronisz, który grał tu rolę marszałka dworu, rzadko do niego się odzywał. Łowczyna głową mu nigdy nie skinęła, a pani sama, choć dziwnie dobra i przebaczająca, instynktowo wstręt jakiś czuła ku niemu. Nie dziwiło nikogo przybycie Brzeskiego do majątku, lecz gdy nazajutrz, ubrawszy się od święta, zażądał posłuchania u dziedziczki, nie wiedząc do czego to zmierzało, Łowczyna się nastraszyła... Chciano chorowitej pani oszczędzić tego nieprzyjemnego spotkania, lecz Brzeski mocno się domagał audyencyi; Łowczyna wolała sama przecierpieć, i kazała go prosić do siebie. Po pierwszem przywitaniu staruszka ozwała się.

— Pan Brzeski żąda się widzieć z panią? to pewnie jaki interes pieniężny? ale pani chora, do czego ją męczyć, wszakże i bez woli i wiedzy robi się, cokolwiek Podskarbic zażąda, pocóż te formy próżne? Oszczędź pan biedną chorą.

— Pani Łowczyno — przerwał Brzeski — daję pani słowo najuroczystsze, że żadnego interesu nie mam.. Przyjechałem tylko pożegnać naszą panią i przeprosić jeżelim w ciągu mej służby czem się mógł jej narazić. Czuję ja dobrze, iż nieraz musiałem nieukontentowania być powodem, ale położenie potroszę mnie uniewinnia. Zresztą w łasce i sercu anielskiem pani nadzieja. Nie chciałbym odejść nieusłyszawszy z jej ust pocieszającego słowa....

Wyrazy te wcale odmienne od tego, z czem zwykle przychodził i odzywał się Brzeski, niesłychanie zdumiały Łowczynę, równie jak zapowiedziane oddalenie się pana Brzeskiego.

— Jakto? więc waćpan oddalasz się? — zapytała.

— Muszę, jestem stary, nie podołam dalej obowiązków, czas odpocząć, pani dobrodziejko — stanowczo rzekł Brzeski — niechże mi pani krótkie posłuchanie wyrobić raczy....

— A to co innego — odezwała się Łowczyna — zaczekaj pan tu, idę do pani.

Po krótkiej chwili oczekiwania ukazała się Łowczyna z powrotem i skinęła na Brzeskiego, ażeby szedł za nią. Przeszli tak długi szereg sal i pokojów po staroświecku umeblowanych ale pustych, bo gabinet przytykający do sypialni ex-wojewodzinej znajdował się na drugim końcu pałacu.. Tu zastali ją siedzącą w fotelu, bladą, osłabłą, z różańcem w ręku i książką od nabożeństwa na kolanach.. Mała dziewczynka,

karliczka, która jej nigdy nie odstępując u nóg z pończoszką siadywała, zobaczywszy, obcego, zwinęła robotę i odeszła. Łowczyna też ustąpiła.. Brzeski został sam na sam z panią, i pokornie trzymał się, pokłoniwszy nizko u proga.. Ona podniosła nań oczy piękne jeszcze, pełne wyrazu słodyczy, i głosem dźwięcznym pozdrowiła.

— Cóż mi to mówi Łowczyna —rzekła powoli — że się waćpan oddalasz od nas, panie Brzeski.

— Tak jest, jaśnie wielmożna pani — po czął wzdychając i wzruszony widocznie stary — czas mi już resztę dni Bogu oddać i staraniu o duszę.. Pracowałem na chleb dosyć, na zbawienie za mało.. podziękuję Bogu, gdy mi da czas do naprawy..

Ex-wojewodzina bardzo zdumiona popatrzyła nań długo.

— Niech Bóg, co waćpana natchnął, błogosławi! — rzekła — ale któż go ma zastąpić tutaj? Mój mąż nic mi o tem nie donosi?

— Właściwie pan Podskarbic nie chciał mi jeszcze dać uwolnienia i życzył, bym pozostał, ale ja nie mogę... Służyłbym, gdybym się czuł na siłach, tych braknie... Mam mocne postanowienie oddalić się, i dla tego oznajmiłem się dopraszać dziś posłuchania u jaśnie wielmożnej pani...

Tu zatrzymał się nieco, spuścił oczy, dumał i zaczął znowu głosem zmienionym, cedząc słowa, jak gdyby nad każdem zastanowić się musiał i wyważyć każde...

— Pani najłaskawsza... Bóg rozrządza liczbą dni naszych, nikt nie wie, kiedy go do siebie on powoła, gotuję się więc tak, jakbym jutro przed nim miał stanąć. W czasie służby mej mogłem pobłądzić, narazić się, zawinić, proszę pokornie o miłościwe przebaczenie... Odpuść mi, pani, winy moje!

To mówiąc uderzył się w piersi, podstąpił bliżej, padł na kolana, twarzą schylił się ku ziemi i ręce do stóp ex-wojewodzinej wyciągnął. Postawa jego, twarz, dźwięk głosu płaczliwy dowodziły, że w tym człowieku, zwykle szyderskim i zimnym, zaszła jakaś dziwna, niepojęta zmiana. Niepodobien był do samego siebie.

Pani ruszyła się z krzesła przejęta tą skruchą, łzy jej stanęły w oczach, uczuła litość, zapomniała uraz, widziała tylko przed sobą upokorzonego grzesznika, błagającego o miłosierdzie w imię Boże.

— Wstań waćpan, — wstań — zawołała łzawym głosem — nie mam urazy żadnej i powtarzam pierwsze słowa moje: Niech mu Bóg błogosławi!

— Powtórz mi pani, powtórz, błagam, to drogie słowo, że mi wszystko, wszystko przebaczasz, wołał składając ręce Brzeski... Wiem to dobrze, iż Bóg nie odpuści grzechu bez zadośćuczynienia, że kto popełnił winę, obowiązany nietylko ją odpokutować, ale krzywdy wyrządzone nagrodzić. Pani najlepsza, otóż na Chrystusa, którego wizerunek tu oto oglądam (wskazał na krucyfiks), przysięgam pani, że winy, jakich się dopuściłem, nietylko skruchą, ale czynem zmazać się będę starał...

Ex-wojewodzina słuchała coraz bardziej zdumiona... Wyrazy te dziwnie się jakoś odbijały w jej sercu, choć wytłumaczyć ich nie umiała sobie.

— Ale waćpan mi nic nie jesteś winien — rzekła — spełniłeś rozkazy.... nie mam żalu...

Brzeski podniósł się z ziemi...

— Niech Bóg pani nagrodzi, niech Chrystus ją pocieszy — zawołał i podniósł ręce w górę... Tu jakoś mu głosu zabrakło, trwożliwem okiem rzucił dokoła... i dodał ciszej:

— Może mi dano być prorokiem... ale widzę przed oczyma mojemi, iż po dniach wielkiej i długiej żałoby i smutku, nadejdą dla pani dni pociechy i wesela, nie ja to mówię, ale przezemnie głos z góry... Ufaj pani Bogu, który cuda czyni, a któż więcej anielską dobrocią na cud zasłużył nad panią...

Nagle jakby się własnych wyrazów przestraszył, zamilkł, przypadł do kolan ex-wojewodzinej, które uścisnął, pocałował podaną rękę i wyszedł szybko... Biedna kobieta, w której uszach brzmiało to osobliwsze proroctwo... padła na fotel zdumiona, i gdy chciała jeszcze pytać o tłumaczenie Brzeskiego, spostrzegła że go nie było...

Z wielkim pospiechem potem udał się Brzeski na ekonomią, zwołał oficyalistów, wezwał pana Bronisza, i natychmiast przy świadkach zdał kasę, klucze i archiwa. Szczęściem wszystko było w porządku tak, że przejęcie nie stawiło żadnych trudności. Krótkiemi słowy pożegnawszy towarzyszów służby, którzy go nie

lubili, ocierając pot z czoła mocno wzruszony, wyszedł na podwórze Brzeski, aby konie kazać podać, gdy go Bronisz dogonił.

Może to było niedelikatnie, ale w czasie posłuchania ex-wojewodzinej, z obawy człowieka, który się wydawał nieżyczliwym, wezwano Bronisza (pani Łowczyna to zrobiła) i kazano mu stać podedrzwiami; Bronisz więc słyszał całą rozmowę jego z panią i równie był poruszony, jak ona. Co więcej, szlachetnego charakteru człowiek, powziął, jakąś sympatyę ku Brzeskiemu, dla okazanej skruchy.

— Czekaj, panie Brzeski — zawołał w dziedzińcu — dwa słowa wytłumacz mi, co się stało? Czyście się z Podskarbicem popstrykali? Jak on się bez waćpana obejść potrafi? co to jest? zkąd ta nagła rezolucya?

Brzeski się odwrócił kłaniając.

— Nie zgadujesz pan — rzekł — nic między nami nie zaszło, prócz że ja, przecieżem nie poddany, nie glebae adscriptus, zażądał uwolnienia. Dość mam z pracy i dosyć z łaski Bożej i państwa, chleba... Chcę odejść.

— Zapewne osiądziesz w Krakowie? — spytał Bronisz

— Bóg raczy wiedzieć. Mam tam dom, to prawda, ale . . . . nadtobym może był blizko...

Ruszył ramionami.

— Widzisz waćpan — dodał Bronisz wahając się nieco — tyle lat władałeś interesami, w wielu rzeczach później może potrzebować możemy objaśnienia, gdzie my go szukać będziemy?

Spojrzeli sobie w oczy... Brzeski pobladł nieco, ale wejrzenie Bronisza nic w sobie niemające groźnego, zdawało się go uspokajać.

— Bądź waćpan pewien — rzekł — że gdy mnie będzie potrzeba, ja się znajdę...

Bronisz z kolei zdawał się zdumiony wyrazami, które coś w sobie miały tajemniczego, Brzeski jeszcze raz mu powtórzył dobitnie.

— Niech pan będzie pewny, że gdy mnie będzie potrzeba tu, ja się znajdę...

To powiedziawszy skłonił się i zostawując Bronisza na środku podwórza, pospieszył kulejąc do bryczki, siadł na nią i pojechał...

Nie upłynęła i godzina po jego odjeździe, gdy z Krakowa na zdyszanym koniu nadbiegł umyślny od Podskarbica, z listem do drugiego zaufanego we dworze zausznika z poleceniem najsurowszem, ażeby Brzeskiego, gdy się tylko tu zjawi, przytrzymano i pod strażą osadzono, dając o tem znać, lub nocą wyprawiono zaraz dodając straż silną do Krakowa. Na przypadek gdyby Brzeski już odjechał, polecono ścigać i schwytać. Powodem miało być pochwycenie znacznej sumy z której Brzeski jakoby nie zdał rachunku. Surowość ta jednak inaczej wyglądała, i wszyscy domyśleli się łatwo, iż to szło więcej o zapewnienie się, iż przypuszczony do wielu tajemnic i robót nieczystych Podskarbica Brzeski, oddaliwszy się ich nie wyda.

Popłoch tedy we dworze stał się wielki... Ponieważ nie było więcej nad godzinę, jak Brzeski wyjechał, łatwem się zdało dognać go, zwłaszcza że wedle wszelkiego podobieństwa drogą ku Krakowu powracać musiał. Posłaniec wszakże ztamtąd jadący upewniał, że nigdzie go nie spotkał.

Rozkazy ścigania wydane były wprawdzie przez wiernego sługę Podskarbica, lecz ludzie, co je spełniać mieli, należeli w większej części do Bronisza, a ten zmiarkowawszy, że należałoby teraz oszczędzać Brzeskiego, szepnął im, ażeby się ani bardzo nie spieszyli, ani nadto śledzili pilnie...

Może skutkiem tych kilku słów, choć stajenni rozbiegli się na wszystkie trakty i mieli dostawać języka o zbiegu, nigdzie z nich żaden go nie napytał, nie spotkał i nie widział...

W Krakowie też przeszukano napróżno kawiarnię przy Wiślnej ulicy, z której się i pani Brzeska dniem wprzódy niewiadomo dokąd wyniosła. — Kuternoga znikł.. bez wieści, wysłano za nim listy gończe i po Krakowie rozeszła się wiadomość, iż na znaczną sumę się sprzeniewierzył, a jak się zdawało, na Węgry uszedł. Naówczas ktokolwiek jak w wodę chciał wpaść, do Węgier ruszał.... Trudno tam było odszukać.

---

Kilka lat upłynęło od opisanych wypadków życia głupiego Janka. W Krakowie ani o nim, ani o Brzeskim słychu nie było. Podskarbic pilno dochodził gdzie się podział dawny jego współpracownik, nałożył nawet inhibicyę

na majątek, gdyby się jaki znalazł, lecz kamienica żony uledz jej nie mogła, bo była własnością spadkową do niej wyłącznie należącą. Silne mający plecy i stosunki familijne przeważnie w koronie całej, Podskarbic per fas et nefas, byłby zgniótł buntującego mu się szlachetkę, gdyby go odszukać zdołał. To mu się wszakże nie udało. Gniew ostygł nieco latami, a jednak obawa jakaś o zachowanie się dalsze Brzeskiego trwała ciągle, i od czasu do czasu wysłańcy Podskarbica śledzili po Krakowie, czyliby się zbieg nie pokazał.

Życie tego pana, chociaż podeszlejszy wiek powinien był wpłynąć na stygnięcie namiętności, wcale się nie zmieniło. Epoka to była, w której i za granicą i w Polsce na zabój się wszyscy bawić i rozrywać i wrażeń szukać potrzebowali. Szukano ich na wszystkich drogach i wszelkiemi sposoby... Delikatniejsze organizacye rozpustowały z wykwintem tracąc czas, zdrowie i majątek na pseudo-artystycznych rozrywkach; charaktery namiętniejsze puszczały wodze wszystkim zachciankom i fantazyom, które naówczas miały, jak utrzymywano, znamionować szlachetniejsze, wyższe natury. Tym wyjątkowym jenialnym ludziom było niemal wszystko wolno . . . a że się kosztem świata bawili i rozporządzali drugimi bez ceremonii, winna była owa niepochamowana ich organizacya, znamionująca krew i pochodzenie! Podskarbic straciwszy na karty, kochanki, konie i bankiety znaczną ojcowiznę i nie jeden spadek, ożeniony został za poparciem przyjaciół i rodziny z bogatą młodą wdową, aby świetność imienia miał za co z cudzej utrzymać kieszeni; małżeństwo to jednak, jakeśmy mówili, nie zupełnie się powiodło. Ex-wojewodzina nie chciała się poznać na przymiotach Podskarbica, chociaż one nawet na dworach zagranicznych wysoce były cenione... Małżonkowie nie mogli zrazu przystać do siebie, a w końcu po mnogich przykrych przejściach, zupełnie się prawie rozstali. Ex-wojewodzina siedziała na wsi, ze swym smutkiem i modlitwą. Podskarbic najczęściej przebywał w Krakowie w swym domu przy Sławkowskiej ulicy i prowadził życie w gronie kilku poufałych przyjaciół nie nazbyt przykładne...

Zarządzał on wprawdzie majątkiem żony i czerpał obficie z kasy, ale długów robić nie mógł, a po kilku daremnych próbach wyprzedawania kluczów, gdy się te nie powiodły, od idei zrujnowania żony musiał rad nie rad ustąpić; dziwił się tylko nie pomału temu, iż ona śmiała chcieć majętność zachować, nie mając dzieci. — Co tu oszczędzać, na co mamy trutniom, którzy Bóg zapłać nie powiedzą, zostawiać fortunę... Lepiejby przecie było zjeść ją i przepić wesoło, ale baba uparta!

W Krakowie cichym, na ustroniu życie Podskarbica upływało tem swobodniej, że go tu nikt kontrolować nie mógł... Robił co chciał... Miał też tu pozawiązywane stosunki, poułatwiane drogi, i nikt go nie szpiegował, co on tam za drzwiami zamkniętemi w swej kamienicy robił. Gdy czasem o niezwykłej godzinie błyszczało z niej światło i huczały wykrzyki, mieszczanie przechodząc podnosili głowy, żegnali się, ruszali ramionami, ale co komu było do tego...

Co parę lat, a niekiedy i częściej, gdy się Podskarbicowi naprzykrzyło jeść ciągle chleb z jednego pieca, a udało się albo zboża na pniu sprzedać, albo kawał lasu zniszczyć, wyruszał pokazać się, że żył w stolicy... i odnowić dawne stosunki i znajomości; polityka jaka kolwiek ona w życiu panów polskich grała rolę wielką, Podskarbica zajmowała jak najmniej. — Miał za zasadę służyć sile i być jak najlepiej z tymi, co najlepsze dawali obiady. Książę Repnin i rezydent francuzki, czy angielski, bodaj turecki, równie mu miłymi byli, jeśli karmili i poili. — Miał to najmocniejsze przekonanie, iż Polska się właśnie dla tego utrzyma, iż wszyscy z niej rwią i korzystają. Kury, co złote jaja niesą, nie zabijają — powiadał... Do konfederacyi się nie mieszał, bo gdzie tylko szable z pochew wysunąć się mogły, tam bywać nie lubił. Nosił się po francuzku i podobniejszy był do starego wychowańca dworu Ludwika XIV i XV, niż do dziecka rzeczypospolitej. Za Sasów Podskarbic w wielkich był łaskach u Breuhla, teraz trzymał zdala z Repninem i nazywał go: un galant homme. Nic dziwnego, bo jak wiadomo, wiele osób dobrze wychowanych płci obojej, podzielały to zdanie.

Jednego dnia ziewnąwszy przy wstaniu nad czekoladą i obliczywszy kasę, w której do trzech tysięcy czerwonych złotych się znajdowało, Podskarbic zawołać kazał swojego marszałka dworu, bo tym tytułem obdarzył jednego ze sług starych i nakazał mu wybór w drogę do Warszawy. Fantazyom tym pańskim zawsze wszy-

stko stało w pogotowiu dogodzić. Dwadzieścia cztery godziny starczyły na wybór... Podskarbic wyjechał... Drugiego dnia na nocleg mieli opóźniwszy się zajechać do gospody, i ów marszałek poszedł z niej podróżnych wyrzucać — bo dla panów ustępować musiał, czy kto chciał czy nie — gdy taka w karczmie powstała wrzawa, że drzemiący Podskarbic, porwawszy szpadę stojącą w karecie, sam z nią wyleciał ludziom na ratunek. Wpadlszy wewnątrz austeryi, postrzegł marszałka dworu i jednego ze swych sług szamocących się straszliwie ze szlachcicem w bieliźnie tylko, który znać z łóżka wyrzucony, zebrawszy manatki uciekał od napastników. Ci go wrzeszcząc przytrzymywali. Jakież było zdziwienie Podskarbica, gdy zbliżywszy się poznał w tym pochwyconym człowieku... nieszczęśliwego, od tak dawna ściganego Brzeskiego!!!

— A tuś mi, złodzieju! — zawołał — a no! przecieżem cię do rąk dostał . . Wiązać go...

Ludzie mieli się już zabierać do spełnienia rozkazu, gdy Brzeski się zawrócił i krzyknął, że łeb rozwali pierwszemu, co do niego przystąpi, chociażby i samemu Podskarbicowi. Trzymał w istocie w ręku potężne polano, chwycone znać na prędce w izbie, i zawijał niem nie żartem. Ludzie stali nieco strwożeni.

— Jakiem że to prawem śmiecie mnie, szlachcica, na drodze imać — począł krzyczeć — myślicie, że to tak płazem ujdzie jak inne gwałty! Jako żywo... i ja też znajdę po sobie obrońców, a jeźli mi się stanie gwałt, ujmą się za mną i prawnie krzywdy dochodzić będą. Masz pan pretesyę, pozywaj! zobaczymy! złodziejem nie byłem i nie jestem.. przed kratkami rozmówimy się o wszystkiem... zobaczymy wówczas, komu cieplej będzie...

Zuchwała ta mowa opamiętała nieco Podskarbica, zawahał się, lecz mimo to kazał Brzeskiego do izby pędzić, chcąc się z nim rozprawić oko w oko...

— Chcesz pan rozmówić się, dobrze, od tego nie jestem... — zawołał szlachcic — ale jeszcze raz powiadam, są tu ludzie moi, są w gospodzie obcy, biorę ich za świadków... a więzić się ani wiązać nie pozwolę... Jeśli kogo trupem położę, nie moja będzie wina...

Podskarbic nie nawykły, aby mu się opierano, gniewny był strasznie, lecz zmiarkował, że gra była niebezpieczna, kazał tylko Brzeskiego do izby gnać.

— Ja sam idę nie potrzebuję przymusu — rzekł Brzeski — rozmówimy się, dobrze.

Służbie więc odstąpić kazano, a szlachcic z polanem w ręku ciągle, poszedł za Podskarbicem. Drzwi pilnowano zdala, aby się Brzeski nie wymknął.

— Więc cię tedy mam ptaszku! — śmiejąc się ze złością wołał Podskarbic rzucając się na stołek. — Zdasz mi rachunek z robót twoich... Dla czegoś uciekł odemnie jak złodziej?

— Boś mnie przemocą chciał trzymać — rzekł szlachcic — i zmuszałeś do pełnienia gwałtu...

— Ja? ciebie? śniło ci się! — krzyknął Podskarbic — miałeś coś na sumieniu, gdyś uciekał.

— Miałem, prawda, ale nie swój grzech, tylko wasz...

Podskarbic zaciął usta.

— Potwarz — zawołał — potwarz; ja o niczem nie wiem...

Brzeski dziko się śmiać począł. Smiech ten rozgniewał pana, poskoczył doń z pięściami.

— Gdzie chłopiec? coś z nim zrobił?

Z kolei Brzeski znać ośmielony, zawołał:

— Jaki chłopiec? o żadnym nie wiem...

Popatrzyli na siebie, a wzrok obu przekonał, iż sobie rady nie dadzą.

— Brzeski — począł Podskarbic łagodniej — uderz się w piersi, winieneś mi wszystko, obsypałem cię dobrodziejstwami, podły jesteś i niewdzięczny.

— Cóżem zrobił? — zapytał zimno zagadnięty.

— Dla czegoś uciekł?

— Podziękowałem za służbę, zdałem rachunki, przecież na całe życie zgodzonym nie byłem..

— Gdzie chłopiec, coś z nim zrobił? Znikł; to twoja sprawa...

— Nie wiem o nim nic; co mi było do niego — odparł Brzeski — gubić go nie chciałem ale ratować nie miałem obowiązku. Ja nie wiem, co się z nim stało! Jużci się go sam pan pozbył...

— Ja? ja? — zakrzyczał podskakując Podskarbic— Jak ty mi śmiesz powiedzieć coś po-

dobnego! To urągowisko? Słuchajże, co chcesz? ile?... mam z sobą pieniądze, zapłacę ci... ja o nim wiedzieć muszę... a przekonany jestem, że ty wiesz.. że ty...

— Opamiętajże się pan — powoli począł Brzeski, który znacznie ochłonął — zkąd to posądzenie, żebym ja o nim mógł wiedzieć, żebym ja się nim miał zajmować? a mnie to do czego? co mnie obchodzi jego życie lub śmierć? Chłopca pewnie rabusie usłyszawszy o pieniądzach, zabili i trupa przechowali...

— Byłby ślad; nie! to twoja sprawa! — powtórzył Podskarbic — mam poszlaki, uwiozłeś go z Krakowa, skryłeś... czekasz chwili...

Brzeski ramionami ruszył.

— Zkądże by mi to tak nagle przyszło? — spytał szydersko — przecieżem was od niego uwolnił; toćbym ratując sam na siebie postronek kręcił!...

— Chcesz się wyratować, ratując jego..

— Zastanów się pan; gdybym ten zamiar miał, czemużbym go już przez te lata nie doprowadził do skutku?

Podskarbic począł chodzić po izbie niespokojny...

— Wszystko to wykręty i kłamstwa.... — rzekł — ty czekasz godziny i zasadziłeś się na mnie.

— Gdzież dowody? gdzie?...

Podskarbic podszedł i poczęli jak dwaj zapasnicy, którzy się za barki pochwycić mają, przypatrywać sobie, Brzeski wytrzymał wejrzenie i dostał kroku...

— Jadę do Warszawy — rzekł Podskarbic — jedzież ze mną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# ROBINSON KRUZOE

— CZYLI —

## SKUTKI NIEPOSŁUSZEŃSTWA

**zupełnie nowo i treściwie ułożony.**

(Ciąg dalszy.)

Znużony, przemoknięty, drżący jak liść osiki z zimna, zmówił pacierz i zasnął. — We śnie stanął mu cały straszny wypadek przed oczy. Widział przez sen swoich rodziców — jak smutni ze łzami w oczach szukali go, wołali na niego: „Robinsonie! gdzie jesteś — chodź do nas — odezwij się!” Już ich widzi przed sobą blizko stojących, i we śnie rzuca się z płaczem w objęcia rodziców, ale zamiast w ich objęcia, zleciał biedak na ziemię. Na szczęście pod drzewem była wysoka trawa i nic mu się złego nie stało. Przebudzony tem wdrapał się powtórnie na drzewo, gdzie doczekał się rana.

Ale tu nowa bieda — zachciało mu się jeść, a tu znikąd pożywienia, głód dokucza nieznośny — bądź co bądź zeszedł z drzewa szukać, i po kilku godzinach znalazł na brzegu ostrygę w piasku leżącą, radość jego była nie do opisania, rzucił się na nią z całą chciwością zgłodniałego, i w mgnieniu oka połknął — o jakże mu się zdawała być wyśmienitą.

Tem zaspokoiwszy nieco głód, pomyślał o jakiem schronieniu od dzikich ludzi i zwierząt.

Wyszedł na górę, z której do koła można było widzieć przestrzeń na kilka mil, i tu dowodnie przekonał się o swem położeniu, że był na małej wysepce — a w oddaleniu kilka mil były także takie wysypki, nigdzie stałego lądu.

O ja biedny człowiek! zawołał on załamując ręce — jestem od wszystkich ludzi opuszczony — od wszystkich oddalony! i nie mam

nawet nadziei wydobycia się z tej wyspy — o moi biedni rodzice — już ja was nigdy nie zobaczę! i począł rzewnie płakać.

Trzeba sobie radzić o ile możności, pomyślał w końcu, i szukał dalej miejsca na bezpieczne schronienie. Niezadługo natrafił na niewielką górę, której jedna ściana była zupełnie spadzistą — i w której było niewielkie wydrążenie.

Gdyby Robinson miał odpowiednie narzędzie, mógłby z łatwością wyżłobić większą jamę i mieć jakie takie schronienie, ale tu o tem ani myśleć — co tu począć — wpadł wreszcie na szczęśliwy pomysł, poprzesadzać młode drzewa przy wejściu tak gęsto, aby tworzyły płot nie dozwalający przebyć się zwierzęciu.

Nie zwlekając, wziął się natychmiast do pracy, ale ta mu szła oporem, musiał bowiem rękami wykopywać drzewka, rękami dół wygrzebywać aby takowe wkopać; zdołał jednak do wieczora przesadzić sześć drzewek. Zmęczony wieczorem — znów wdrapał się na drzewo, aby tam przenocować, a nauczony doświadczeniem, zabezpieczając się od spadnięcia we śnie z drzewa, przywiązał się do gałęzi za ręce chustką z szyi zdjętą. Tę noc przebył z determinowany na wszystko Robinson spokojnie.

## IV.

Rano o świcie przebudzony Robinson, zaraz pomyślał o zaspokojeniu głodu, który mu dokuczał — i w zamiarze wynalezienia znów jakiej ostrygi, udał się nieco ośmielony inną drogą.

Uszedłszy parę kroków z radością ujrzał, że z góry, w której obrał sobie siedzibę, wytryska zdrój czystej wody; pokrzepiony nią, udał się dalej, i w niewielkiej odległości, wykrył drzewo kokosowe pełne owoców, idąc dalej znalazł ogromną muszlę — która mu wybornie posłużyła do przesadzenia drzew, zastępując łopatę; nadarł z drzewa łyka, skręcił na kształt powrozu i uciąwszy przy pomocy muszli kij odpowiedniej grubości, przymocował go tak silnie do muszli, że miał najwygodniejszy rydel, którego mógł używać nie zginając się, co przy wielkim upale bardzo go męczyło.

Postępując dajej, Robinson każdej rzeczy przyglądał się rozważnie, czy czego nie można obrócić na jaki użytek, i tak dostrzegł nieopodal roślinę, którą miała podobieństwo do lnu; i w istocie oporządziwszy oną, włożył do wody, a potem skręcił sznur — który chociaż nie był tak mocny jak zwykły, jednak bardzo był mu potrzebny, zaraz też z niego zrobił wiszącą drabinę, która do wdrapania się na drzewa bardzo ułatwiała.

Nie raz zmuszony Robinson szukać żywności oddalony od swego źródła — mógł nie napotkać na wodę, potrzebował więc naczynia, w któremby mógł mieć przy sobie zawsze zapas wody. — Urwał więc z drzewa kokosowego owoc ostrożnie, wydrążył mały otwór i wypił z środka płyn. Nabrał do owej swej flaszki wody i splecionym sznurkiem przymocował do pasa.

Chodziło Robinsonowi przedewszystkiem o bezpieczne jakie schronienie. Jama wydrążona w skale, jakeśmy to powiedzieli nie była zbyt obszerną, a co gorsza, wejście do niej było zupełnie wolne. — Tak więc Robinson nie był tam bezpieczny, bo lada chwila mógł wejść jaki gość o czterech nogach, i z naszego bohatera wyprawić sobie ucztę.

Wprawdzie zaradzając temu Robinson, u wejścia powsadzał drzewka, ale te w zupełności nie zasłaniały otworu.

Ale jak to wiemy: „potrzeba jest matką wynalazku" i Robinson z potrzeby musiał radzić sobie jak mógł i umiał. Spostrzegł, że nad otworem wyrasta drzewo, z tego postanowił korzystać. Nadarł łyka i zaczął pleść z niego rogószkę. — Cały dzień zajęła mu ta robota, ale skutek pomyślny, łyko grube mocno splecione, przymocowane do drzewa nad jamą i spuszczone na dół zasłaniało otwór zupełnie, i chroniło nad napadu dzikich, zastępując drzwi.

Wydrążenie w skale, które rozbitkowi naszemu za mieszkanie służyć miało, nie było dosyć obszerne, myślał go więc rozprzestrzenić, spróbował dokazać tego za pomocą szpadla, który z muszli skomponował, ale daremnie — bo skała twarda stawiała opór.

Udał się więc w stronę — gdzie poprzedniego dnia widział mnóstwo nagromadzonych kamieni i po mozolnem szukaniu udało mu się odszukać kamień dosyć wielkich rozmiarów ostry, który na szczęście miał w sobie dziurę.

Przemyślny z potrzeby Robinson osadził ten kamień na grubym kiju, przymocował łykiem i tak przyrządzony, — mógł być użyty

jako bosak. Tem o jednodniowej pracy zdołał wyłamać w skale tak obszerną przestrzeń, że wygodnie mógł się w niej pomieścić jak w małym pokoiku.

Narwał trawy — wysuszył na słońcu i urządził sobie posłanie.

Praca ta jednak zajęła mu 8 dni — przez które musiał na drzewie nocować, żywiąc się owocem z kokosowego drzewa i ostrygami.

Pierwsza noc przebyta w nowem mieszkaniu — przypomniała mu dom rodzicielski — przypomniał sobie łóżko, które mu zawsze matka tak wygodnie posłała, gdzie mu tak było dobrze — gdzie nie potrzebował myśleć o niczem — bo do łóżka jeszcze przynoszono mu śniadanie — porównał teraźniejsze swe położenie i westchnął smutno — bo wiedział, że to wszystko sam spowodował swojem nieposłuszeństwem i uporem.

Następnego dnia wypadała niedziela, ten dzień obrócił Robinson na spoczynek, modlitwę i podziękowanie Panu Bogu za wyratowanie od śmierci.

Ażeby nadal wiedzieć — który jest dzień, co łatwo mógł zapomnieć, wyciął na jednem drzewie 7 kresek, które miały wyobrażać tydzień, na drugim 4 kreski — to był miesiąc; — na trzecim wreszcie 12, co przedstawiało rok. Tak urządziwszy kalendarz, łatwo mógł wiedzieć, zacierając po przebytym dniu — miesiącu lub roku, kreskę na pierwszem, drugiem lub trzeciem drzewie, jak długo znajduje się na wyspie.

Był już więc zabezpieczony od napadu dzikich zwierząt, to jednak nie było dosyć — trzeba było pomyśleć o sposobie do życia na dłuższy czas, bo ostrygi już go nie zadawalniały, a co gorsza i nie wiele ich było — mogło nawet zabraknąć, w takim razie musiałby czekać na przypływ morza.

Bądź cobądź postanowił zwiedzić całą wyspę. W tym celu dla ochrony od nieznośnego upału, przyrządził sobie z liści drzewa kokosowego rodzaj parasola, spajając je ośćmi ryb, które morze wyrzucało. — W dalszem przygotowaniu do zamierzonej podróży po wyspie — splótł z łyka, trawy i dartych łodyg torbę podróżną, aby miał w razie znalezienia jakiej żywności, gdzie ją schować.

Tak przygotowany za nadejściem nocy, ułożył się do spania, i z gorączkową niecierpliwością, która mu sen odbierała, oczekiwał dnia.

## V.

Robinson nie czekał rozwidnienia — wstał wcześniej od słońca i przygotowywał się na wyprawę. Przewiesił torbę przez plecy — przewiązał się przygotowanym sznurkiem, aby go mieć na wszelki wypadek, przymocował do pasa swoją improwizowaną flaszkę pełną wody — wziął parasol na plecy i ruszył w drogę. Prześliczny był ranek. Słońce weszło w całym blasku i ozłociło wierzchołki drzew. Tysiące wielkich i małych ptaków w różnorodnych kolorach, śpiewały swą ranną pieśń i cieszyły się wschodzącym dniem. Powietrze było tak czyste i orzeźwiające, jakby pierwszego dnia stworzenia — a z krzewów i kwiatów rozchodziła się dokoła przyjemna woń.

Robinson uszedł już kawał drogi — a jeszcze na nic takiego nie napotkał, coby mógł na swą korzyść obrócić. Niezadługo spostrzegł on roślinę, na której było mnóstwo owoców, podobieństwem zbliżających się do zielonkowatych jabłek, a gałęzie jej były większymi i mniejszymi kolcami pokryte. Zerwał jedno i schował do swej podróżnej torby — i ruszył dalej.

Zaszedł wreszcie pod strumień a będąc zmęczony, usiadł pod cienistem drzewem, gdy w tem usłyszał za sobą jakiś rzmer, a zwracając przelękniony w stronę zkąd takowy pochodził oczy, ujrzał ślad dzikich zwierząt, które wiele podobieństwa miały do owiec. Amerykanie ułaskawiają to zwierzę, które zowie się lama. Robinson schwycił za kamień i wdrapał się na drzewo, aby na przechodzącą tedy lamę rzucić i zabić. — Jedna z młodych zbliżyła się do strumienia dla napicia się wody, w tedy Robinson tak silnie uderzył ją kamieniem w głowę, że ta nieżywa padła na ziemię.

Ale w tejże chwili przyszła mu na myśl bezskuteczność tych usiłowań — bo cóż zrobi z surowym mięsem, a nie miał ani naczyń odpowiednich, ani też co najważniejsza ognia do upieczenia lub ugotowania. W tem przypomniał sobie, że kiedyś słyszał o sposobie używanym przez dzikich dla wzniecenia ognia; biorą oni dwa suche drzewa i trą jedno o drugie tak

długo, póki drzewo to ogrzewane stopniowo nie zapali się. Postanowił spróbować tego sposobu. Zaniósł więc zabitą lamę do domu — ściągnął z niej skórę i wywiesił na słońce aby uschła. Potem wziął dwa drewna o ile możności suche i tarł aż mu pot kroplami spływał z czoła, ale to było nadaremnie. Dzicy używając tego sposobu — ale biorą kawałek drzewa twardego i miękkiego i te trą z taką szybkością i siłą, że w krótce miękkie drzewo zapala się. Ale Robinson nie wiedział o tem dokładnie. Zmęczony i rozgniewany niepowodzeniem, rzucił drewna o ziemię i myślał nad sposobem użycia mięsa bez ognia.

Wziął dwa szerokie i płaskie kamienie — między te włożył kawał mięsa i z całych sił zaczął po tych kamieniach tłuc; po dziesięciu minutach — kamienie pokrywające mięso były ciepłe a za niespełna pół godziny, mięso było jako tako sposobne do jedzenia.

Dla Robinsona, który od tak dawna nie kosztował mięsa, chociaż w ten sposób przyrządzone, było wyśmienitą potrawą. Nie zapomniał też Stwórcy podziękować za ten nowy dowód opatrzności. — Zjadłszy, postanowił więcej lam szukać i tym samym sposobem zabić, aby miał zapas na zimę, a gdy dzień był ku schyłku, udał się na spoczynek, aby pokrzepić strudzone siły.

## VI.

Tą razą Robinson zaspał ranek — a kiedy przebudzony chciał wyjść ze swej pieczary — zatrzymał go ulewny deszcz, który za odchyleniem zasłony, wdzierał się do wnętrza jamy.

Niezadługo, błysnęło tak — że całe niebo stanęło jakby w płomieniach, od ustawicznych grzmotów aż ziemia drżała, a z góry spadały kawały poobrywanej ziemi i kamieni, usiadł więc u wnijścia swego mieszkania — gdy w tem piorun z przerażającym grzmotem uderzył w drzewo nad wejściem rosnące, a cała góra zachwiała się w swych posadach. — Robinson padł jak nieżywy; pozbawiony był wzroku i słuchu, co oznaczało, że był rażony piorunem.

Długo leżał bez przytomności. W końcu uczuł w sobie jeszcze życie, zebrał więc wszystkie w sobie siły aby się przejść. Ale zaledwie krok postąpił nowy widok wprawił go w zadziwienie bez granic. — Drzewo w które piorun uderzył stało do połowy w płomieniach. Nauczony z wszystkiego korzystać, przeniósł zaraz tak upragniony ogień do swego mieszkania. Cel osiągnięty; chodziło tylko o to, aby ten ogień ciągle podtrzymywać, chroniąc od zagaszenia.

Ta nowa zdobycz rozradowała jego serce; to też szczerze dziękował Bogu za ten podarunek który widocznie pochodził z nieba. Zaraz zabrał się do ukrajania kawała mięsa, posolił wodą morską i ostrożnie piekł przy ogniu. Kiedy już dostatecznie było upieczone, pierwszy kawałek do ust wzięty wprawił biednego rozbitka w nieopisaną radość. Cztery tygodnie bowiem nie kosztował żadnej porządnej potrawy. Aby ten ogień, który dla niego był nieoszacowanym skarbem podtrzymywać — i aby zasłonić go od deszczu, który mógł go zalać — Robinson nałamał ze skały kamieni i nieopodal od swej siedziby, przy pomocy ziemi zwilżonej przed chwilą padającym deszczem, kładąc kamień na kamień pomazany ziemią, zdołał nie wielką przestrzeń murem opasać, to przykrył wielkim kamieniem i zostawionym w dole otworem włożył do środka ogień, podłożył drzewem, aby przez noc nie zgasł i z dziękczynną, modlitwą na ustach zasnął.

## VII.

Ponieważ na wyspie przez Robinsona zajmowanej, w dzień upał był nieznośny, przeto był zmuszony wybierać do pracy rano lub wieczór.

Wiedział, że gdy nastąpi przypływ morza, i wiele wody morskiej na lądzie zostanie, ta wysuszona przez morze zostawia osad, który jest solą.

Upatrzywszy sposobną chwilę, udał się na brzeg, aby tam nazbierać soli — w celu osolenia mięsa, a tym samym zabezpieczenia go od zepsucia.

Mimo chodem znalazł nowy rodzaj pokarmu, był to olbrzymiej postaci żółw; z trudnością zarzucił nową swą zdobycz na plecy i zaniósł do domu. Wierzchnia skorupa pomyślał — zastąpi mi cebrzyk, który tak mi jest potrzebny, posolił pozostałe mięso i kiedy mu w tejże chwili przyszło na myśl w dymie dla uwędzenia powiesić, podwójnie był szczęśliwy.

Dzień dzisiejszy stanowił epokę w życiu Robinsona na bezludnej wyspie; błysnęła mu myśl, której wykonanie stanowiłoby największy czyn dotąd wypełnianych — postanowił on mieć choć jedną sztukę jakiegobądź gatunku bydła; lama przypadła mu do gustu, i aby tem łatwiej ułaskawić i przyswoić, postanowił parę żywcem złapać. W tym celu skręcił postronek i na jednym końcu zrobił stryczek czyli pętlicę.

Zadowolony z siebie, wesół poszedł w miejsce, gdzie spodziewał się jak to niegdyś lamy napotkać. Po długim oczekiwaniu ujrzał w oddaleniu pląsającą i do źródła zbliżającą się lamę. Skrył się prędko za drzewo, — i z całem wytężeniem z rozpuszczoną pętlicą w ręce czekał tylko jej większego zbliżenia się. Niezadługo podbiegła tak blizko, że nic więcej nie potrzebował jak zarzucić pętlicę na szyję i cieszyć się odniesionym tryumfem.

Schwytana lama była matką dwojga małych lamiąt, które nie odstępowały jej na krok i pomimo to, że stara lama rwała się, rzucała — chcąc wyswobodzić się z gniotącego szyję sznurka, małe wcale nie były przestraszone, postępując za swą matką.

Robinson ciągnął z całych sił opierające się zwierzę aż do samego domu, tu przywiązał do drzewa — i jak najprędzej wziął się do wystawienia małej stajni.

Szczęście jakiem był przepełniony odludny mieszkaniec, nie da się wyraźnie skreślić — dotąd sam — nie widział żywej duszy, czuł w sobie jakąś czczość, tęskność — dzisiaj ma towarzyszów, — już mu ma kto rozerwać tę chwilę samotności — z drugiej strony zwierzęta schwytane przyniosły mu wielką korzyść, już miał zabezpieczoną odzież, którą myślał z wełny lam zrobić — miał mleka dostatek — a więc i masło i ser mógł sobie zrobić.

W krótkim też czasie lamy zupełnie były obłaskawione, przychodzącego z wycieczki witały, wybiegając na spotkanie, skacząc radośnie i dziękując lizaniem ręki, ile razy Robinson przyniósł im świeżej trawy, lub nazbieranej kory z drzew.

Nie zaniedbywał także korzystać wszechstronnie z swoich towarzyszy — a mianowicie przyzwyczajał je do noszenia ciężarów, i w tym celu zrobił zwitek z liści kokosowych dwa koszyki, które niczem prawie nie różniły się od zwykłych, te związał sznurkiem i przewiesił przez grzbiet lamy, do których wszystkie w czasie wycieczek poznajdowane rzeczy, które uważał za potrzebne, wrzucał.

I tak Robinson był przynajmniej o tyle szczęśliwy, o ile być można było — w podobnem jak on położeniu. Na niczem mu nie brakło, miał się gdzie schronić, czem żywić — miał i towarzystwo i zdawało mu się, że gdyby jeszcze widział przy sobie kochanych rodziców, nic by więcej nie żądał — zapomniał już o złocie, którego szukał. — O pomyślał sobie nie raz — gdybym wyswobodził się z tej wyspy i wrócił do rodziców, jużbym nigdy nie oddalał się na krok od nich, do śmierci bym pozostał i wznosił oczy ze łzami do Boga, aby jak najprędz ejprzyspieszył tę chwilę.

Tak to zwykle bywa — poznajemy dobre dopiero w tedy, jak go postradamy — zdaje nam się, że tam gdzieś za górami — to lepiej, szczęśliwiej, rzucamy wszystko, — biegniemy za wymarzonem szczęściem, szukamy go dopóty, dopóki zmęczeni, znurzeni, z troskaną głową, z żalem w sercu za ubiegłemi próżnemi latami — nie zejdziemy z tego świata.

Robinson jednak widząc we wszystkiem Opatrzność Bozką, miał się za tych wybranych, którzy szczęście czerpią pełnemi rękami — i dla tego nadzieja zobaczenia jeszcze domu rodzicielskiego nie opuszczała go.

Ale znamy przysłowie tak często powtarzane, że po dobrem następuje złe — że jedno musi istnieć dla drugiego, otóż i Robinson za wiele doznawał dobrego i na niego przyszła nowa kreska.

Była to noc — Robinson leżał spokojnie w swojem mieszkaniu — myśląc o swoim losie, zadowolony z lepszego bytu; a u nóg jego spoczywały wierne lamy. W tem ziemia cała poczęła się trząść — i z pod ziemi wychodził niezwykły jakby ryki, łoskot, zdawało się, że na raz w połączeniu tysiące piorunów trzaska.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

# GAWĘDZIARZ.

## LEGENDA O ROBACZKU ŚWIĘTOJANSKIM.

Gdy Marya i Józef przybyli do stajenki Betleemskiej, było tam tak ciemno, że ustawicznie trącali o wszystkie ściany i przedmioty. Mały, nędzny robaczek, nazwany Zeta, który pozostawał ukryty w murze lichego schronienia, westchnął litując się nad wędrowcami. Wyszedł więc prędko na wierzch stajenki i spostrzegł na dachu zabłąkany promyk księżyca, porwał go też czemprędzej i nie bez trudu zaniósł wędrowcom, aby im promień ten służył za oświetlenie.

— Oby cię Bóg za to wynagrodził, mały przyjacielu, rzekła Marya.

— Tak, niech ci Bóg nagrodzi — przywtórzył św. Józef, a podziwiając owadek, dodał:

— W tym kraju zwierzęta są litościwszemi od ludzi.

Tu osieł schylił łeb, a wół kopytem w ziemię uderzył, tak jakoby chcieli powiedzieć:

— Niezadługo i my wam dowiedziemy tego, żeśmy litościwe.

* * *

Gdy się Jezus narodził, wtedy promyk świetlany małego Zety był pierwszą jasnością, jaka oświeciła jego biedny żłobek. Dzieciątko uściskawszy Maryą i popieściwszy się z Józefem, rzuciło okiem na robaczka, który z uszanowania wielkiego skurczył się do niepoznania.

Pan Jezus rzekł do niego:

— Jakże jesteś dobrym, mój Zeto. Wynagrodzę cię za to. Powiedz mi czego chcesz?

Lecz Zeta się waha i nic nie odpowiada.

Na to Pan Jezus:

— Chcesz, abym ci dał skrzydełka jedwabne posiane brylantami tak jak motylkowi, abyś mógł latać swobodnie?

— Nie, mój Boże!

— Czy chcesz, abym cię nauczył rzemiosła małej mrówki roboczej?

— Nie, mój Boże!

— Albo pszczółki, która zbiera miodek słodki, której wszystkie kwiatki służą?

— Nie, mój Boże!

— Albo jedwabnika, który sobie sam buduje schronienie tak cudowne.

— Nie, mój Boże!

— Ale czego żądasz, mój Zeto, przyjacielu, powiedz mi bez trwogi. Musi to być coś z pewnością bardzo rzadkiego.

— Czego sobie życzę, mój Boże! oto tego — rzekł biedny owad błagającym głosem — tego, żebym co wieczór mógł posiadać taki mały promyczek księżycowy jak ten, którego sobie tej nocy poszukałem, żebym tę samę usługę mógł oddać każdemu co jej potrzebować będzie. Gdyż wiesz mój Boże, że księżyc nie zawsze w nocy świeci i nie zawsze promyki jego błąkają się po ziemi.

O mały robaczku, życzenie twoje jest spełnione. Od tego czasu promyczka owego szukać nie będziesz potrzebował; będziesz go miał zawsze i nosił na sobie.

— Dzięki, Ci mój Boże!

* * *

Odtąd to, latem zwłaszcza, podczas pięknych nocy majowych, tyle jest gwiazdek błyszczących na zielonych trawnikach, ile na lazurze niebios.

Wszystkim tym, co ubogiemu podają kawałek chleba, kubek wody albo słowo co go oświeca, radę co go wzmacnia, wszystkim tym da Dzieciątko Jezus w nagrodę ów promyk chwały wiekuistej, który uwieńczy ich czoło i weźmie do raju.

(KONIEC.)

# HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

## OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Price'owi przybyły tymczasem posiłki tak, iż ta armia południowców liczyła 25,000 ludzi. Nad nimi objął dowództwo Van Dorn jeden z najodważniejszych dowódzców południowych. Ten przybliżał się tak ostrożnie, iż Curtis dopiero się o nim dowiedział, gdy już był zupełnie blizko. Curtis, który tylko miał 11,000 ludzi i 40 armat, cofnął się do Pea Ridge, gdzie na niego uderzył Van Dorn. Bitwa trwała prawie dwa dni; po wielkich stratach z jednej i drugiej strony rozpiechrzli się Konfederaci. Zwycięztwo Curtisa było zupełnem. Curtis pociągnął nad rzeką ku Helena.

W tym samym czasie toczono także walkę w Texas i New Mexico, lecz potyczki tamtejsze były mniej ważne; czasem zwyciężyli Konfederaci, innym razem Lojaliści.

Około tego czasu okazywały się znów większe oddziały powstańców w Kentucky. Jenerał Buell uorganizował tymczasem w Louisville przeszło stotysięczną armię. Na czele 40,000 wojska zapędził się jen. McCook wzdłuż kolei po za rzekę Green River. W dniu 7 stycznia rozproszył jen. Garfield powstańców w pobliżu Prestonburga. Bardziej na zachód pod Mill Spring zadał jen. Thomas klęskę Konfederatom, w której dowódzca ich jen. Zollicoffer utracił życie. Konfederaci ubiegli do Tennessee.

Po tych wypadkach postanowił Halleck złączyć swą armię z Buellem, aby wspólnie uderzyć na najgłówniejsze pozycye Konfederatów. Przygotowano także w St. Louis i Cairo flotę składającą się z 12 statków i 126 armat, która miała popierać operacye korpusa armii. Przez mniejsze ruchy wojskowe usiłowano odwrócić uwagę nieprzyjaciela od operacyi w większych rozmiarach. Tymczasem przedsięwzięto już ekspedycyę przeciw Fort Henry i Fort Donelson. Dowodził nią jen. Grant. Fort Henry, jako i Fort Dietman poddały się po krótkiej obronie. Zwycięztwo to było ważnem, gdyż wojska północne mogły teraz łatwo przybliżyć się do Columbus. Następnie udano się w trzech kolumnach ku Fort Donelson. Pierwsze dywizye przybyły wcześniej i otoczyły tę warownię. Rozpoczęła się zacięta bitwa, w której dwie kolumny wojska północnego zostały pobite. Pomimo tego nie cofnęły się, lecz oczekiwały na trzecią kolumnę i inne posiłki. Konfederaci tymczasem zamierzali nazajutrz zrobić wycieczkę i rozproszyć oblegających lub też przerznąć się przez ich szeregi. Lecz ich zabiegi były daremnemi. Zbici na każdym punkcie poddali twierdzę (16 lutego 1862). Był to srogi cios dla rokoszan, bo przez utratę tej fortecy utracili Missouri, Kentucky i Tennessee. Zaraz potem zajęły wojska związkowe Bowling Green, Nashville w Tennessee a następnie Columbus w Missouri. Innym ważnym punktem nad rzeką Mississippi był New Madrid, który Konfederaci mocno obwarowali. Po bitwie, w której związkowi utracili 51 ludzi, opuścili Konfederaci także tę warownię. Nie mniej srogim ciosem dla nich była utrata wyspy No. 10, gdzie 7000 Konfederatów zostało przez zwycięzców wziętych w niewolę.

Grant zająwszy Fort Donelson, uorganizował swą armię na nowo, a widząc, że Corinth nad Memphis i Charleston koleją jest wielce pożądanym punktem strategicznym, wysłał swą armię w tę stronę lądem i wodą. Nareszcie w kwietniu 1862 stała główna jego armia pomiędzy Pittsburg, Landing i Shiloh 20 mil od Corinthu, gdzie jen. Beauregard był zgromadził znaczne siły nieprzyjacielskie; dowództwo nad niemi zaś objął jen. Johnston. W niedzielę 6 kwietnia 1862 uderzyli Konfederaci na armię Granta i wprawdzie na skrzydło Shermana i Prentissa, którego kolumny zostały przełamane i jenerał Prentiss dostał się z większą częścią swego oddziału w niewolę. Bitwa trwała cały dzień, a z nadchodzącą nocą, widział Grant armię swą pobitą i odpartą aż do rzeki Tennessee. Johnston naczelnik Konfederatów zaś padł w bitwie, miejsce jego zajął jen. Beauregard. Tymczasem biegł na pomoc Grantowi jen. Buell, który atoli dopiero nad wieczorem się okazał na drugiej stronie rzeki. Przez całą noc przeprawiało się wojsko a nad ranem rozpoczęła się walka na nowo. Pomimo zaciętego oporu, musieli się Konfederaci cofać krok za krokiem. Utraciwszy wszystkie korzyści dnia poprzedniego odniesione, opuścili pobojowisko i wrócili do Corinthu, utraciwszy 10,000 ludzi. Lecz zwycięztwo armii Granta i Buella było także drogo okupione. 15,000 z ich ludzi poległo.

Grant chciał natychmiast uderzyć na Corinth,

lecz tymczasem przybył jen. Halleck, który tak długo się ociągał, iż powstańcy mieli czas cofnąć się, wysadziwszy w powietrze wszystkie zasoby, których ze sobą nie mogli zabrać. Halleck obsadził Corinth, lecz został wkrótce odwołany, aby objąć dowództwo naczelne nad wojskiem Stanów północnych.

Na rzece Mississippi toczyła się tymczasem także walka. Po zajęciu Nowego Madrytu i wyspy No. 10, popłynął Foote, dowódzca floty związkowej, na południe, podczas gdy korpus jenerała Pope dążył za nim na okrętach transportowych. Celem ich było zdobyć Memphis, jeżeliby można. Pod Fort Pillow natrafili na flotę południowców i 300 wojska. W dniu 10 maja zaczepili południowcy flotę i korpus północny, zostali jednakowoż pobici. Pomimo tego pozostali tam jeszcze prawie dwa tygodnie. Dowiedziawszy się zaś o tem, że Beauregard opuścił Corinth, popłynęli ku Memphis, gdzie ich dogonił Davis, następca Footego, który z powodu rany mu zdał dowództwo nad flotą, i pobił, wskutek czego wojska północne wkroczyły do Memphis, do którego przybył także oddział jenerała Wallace po wzięciu miasta Corinth.

Przyjaciele wolności posiadali więc już Kentucky, Alabama, zachodnię część stanu Tennessee i południową część stanu Mississippi. Na chwilę nastał na zachodzie gór alleghańskich spokój podobny do ciszy poprzedzającej gwałtowną burzę.

Lecz zwróćmy znów uwagę naszą na wypadki które się wydarzyły nad wybrzeżem północnej Caroliny. Pozostawiliśmy tam zwycięzkiego jen. Burnside przygotowującego się do nowych zwycięztw. Ekspedycya jego przybyła w dniu 12 marca do New Berne nad rzeką Neure w dniu 12 marca 1862. Natychmiast wylądowało 15,000 żołnierza, którzy w trzech kolumnach uderzyli na miasto. Po zaciętej bitwie uciekli południowcy pozostawiając zabitych, rannych i 200 jeńców w rękach zwycięzców,. i niszcząc wszystkie mosty, któremi przechodzili. W dniu 26 kwietnia poddała się także warownia Fort Mason. Drugie oddziały zabrały w tym czasie inne miejscowości zajęte przez południowców, pobiwszy ich poprzednio pod South Mills niedaleko Camden Court House. Winton, Plymouth, miasteczko Washington dostały się w ręce zwycięzców, którzy więc stali się panami całego wybrzeża od Dismal Swamp River aż do przylądku Cape Fear. Burnside został następnie odwołany do Virginii, aby popierać jenerała McClellan.

W tym samym czasie operowali Dupont i Sherman w South Carolina i Georgia; chodziło im zwłaszcza o zdobycie warowni Fort Pułaski, leżącej na wyspie Cokspur przy ujściu rzeki Savannah. Warownia ta poddała się w dniu 12 kwietnia. — Dupont i Wright zdobywali także w tym czasie różne pozycye nad wybrzeżem Floridy. W lutym zajęli Fort Clinch i Fernandine, w marcu Jacksonville i St. Augustine, Pensacola i reduty naprzeciw Fort Pikens leżące. Sherman zaś zajął w tym samym miesiącu wyspę Edisto w pobliżu miasta Charleston. I tak opuścili południowcy przed rocznicą zdobycia twierdzy Fort Sumter całe wybrzeże Atlantyku od przylądka Hateras aż do zatoki Perdido z wyjątkiem Charlestonu.

W Hampton Roads znajdujemy tymczasem jen. Butler na czele ekspedycyi, która miała pomagać flocie przy zajęciu Nowego Orleans'u, Mobile, Galveston i Baton Rouge i następnie Texasu.

Na początku kwietnia przybyła flota pod dowództwem Farraguta i Bailey'go do ujścia rzeki Mississippi i poczęła się przysposabiać do ataku na twierdze: Fort Jackson i Fort Philipp. W dniu 18 tego miesiąca poczęto je bombardować, lecz Farragut widząc że to nie pomoże, postanowił przerznąć się pod ogniem twierdz na drugą ich stronę, co też uskutecznił; tu też napotkał silną flotę nieprzyjacielską. Rozpoczęła się zacięta walka trwająca tylko godzinę i pół. Jedenaście statków nieprzyjacielskich zostało zniszczonych. Butler wylądował tymczasem na czele armii z drugiej strony fortec i okrążył je, wskutek czego kapitulowały. Zajęcie miasta New Orleans ogołoconego z wojska było już rzeczą łatwą. Utrata Nowego Orleans'u była dla powstańców najsroższym ciosem, który ich dotychczas spotkał.

Wracamy teraz do armii nad rzeką Potomac, która liczyła na początku 1862 roku, 200,000 żołnierzy. McClellan ociągał się wciąż z uderzeniem na nieprzyjaciela a prezydent widząc, że dowództwo nad tak wielką armią jest dla niego zatrudnem, pozostawił mu dowództwo nad jedną jej częścią tylko. Nim jednak dalej postąpimy w opisie jego czynności, musimy wspomnieć o bitwie morskiej pomiędzy dwoma słynnymi okrętami Merrimac i Monitor. Merrimac był to okręt południowców, cały okryty pancerzem czyli raczej grubemi blachami żelaznemi. Ten okazał się niespodzianie w dniu 6 marca w porcie Hampton Roads i uderzył wprost na fregaty Congress i Cumberland i zniszczył takowe. Wkrótce potem nadpłynął Monitor. Był to mały statek, którego wierzch płaski, można było tylko widzieć. Okręt ten był zbudowany z dobrego żelaza, któremu kule armatnie nie mogły zaszkodzić. Na środku jego znajdowała się wieża na kształt cylindra, w której się znajdowały dwa otwory do armat. Maszynerya w tej wieży obracała armaty w niej się znajdujące w każdym kierunku. Budo-

wniczym statku tego był Ericson, Szwed z urodzenia. Po długiej i zaciętej bitwie został Merrimac tak uszkodzony, że komendant jego w największym pospiechu wrócił do Norfolk.

Południowcy opuścili już poprzednio Manassas i cofnęli się do Richmond, a jen. McClellan postanowił przenieść główną kwaterę swej armii do fortecy Monroe, aby ztamtąd operować przeciw miastu Richmond. W czasie jego marszu pobił jen. Shields południowców pod jen. Jackson w Winchester, gdzie ci ostatni utracili 1,500; korpus Shields'a zaś 100 ludzi.

W dniu 5 kwietnia wyruszyła armia McClellana z Fort Monroe.

Powstańcy pod jen. Magruder, mającego tylko 11,000 ludzi, umieli się uwijać tak zręcznie, że McClellan był tego zdania, że ma do czynienia z armią kilkadziesiąt tysięczną i wstrzymał dalszy swój pochód przez cały miesiąc. Magruder widząc nareszcie, że McClellan nie da się dłużej omamić, opuścił w dniu 3 maja Yorktown i zajął obwarowane stanowisko pod Williamsburgiem. Większa część armii północnej pod jen. Summer szła za nim. Williamsburg był miejscem mocno obwarowanem, gdzie naczelnik powstańców pozostawił silny oddział, aby wstrzymać korpus Summera. W dniu 6 maja atakował korpus ten to miejsce tak natarczywie, że południowcy uciekli, pozostawiając 800 rannych na polu bitwy. Odznaczyli się tu jenerałowie Stoneman, Hooker, Kearney i Hancock. Spokojnie postępował teraz McClellan dalej, aż doszedł do brzegu rzeki Chikahominy, za którą jen. Johnston się był okopał.

Tymczasem przedsięwziął jen. Wool, komendant fortecy Monroe wyprawę przeciw Norfolkowi. Udało mu się to wybornie. W dniu 10 maja okazał się pod wałami fortecy i jako zwycięzca wkroczył do miasta. Statki wojenne leżące w James rzece odpłynęły ku Richmondowi. Wojsko południowców zaś, zniszczywszy okręt pancerny Merrimac, uciekło w kierunku Petersburga i Richmondu.

W Shenandoah dolinie zaszły w tym samym czasie także dość ważne wypadki. Jen. Fremont znajdował się w Franklin, Banks w Strassburg'u i McDowell w Fredericksburg'u aby i bronić Washingtonu i w razie potrzeby pomódz McClellanowi. Jackson, naczelnik południowców złączył się z odważnym Ewellem i stał w pobliżu Staunton. Tam zadał dotkliwy cios jednej z brygad Fremonta pod jen. Milroy, podczas gdy Ewell zmusił Banksa do odwrotu do Strassburga (8 maja). W dniu 23 maja rozbili południowcy oddział pułkownika Kenly pod Port Royal, wyparli Banks'a ze Strassburga i popędzili go aż do Winchester. Tu uderzył Ewell znów na niego i zmusił do dalszego odwrotu do Williamsportu, przez co stolica została zagrożoną. McDowell i Fremont otrzymali rozkaz zajęcia tyłu Jacksona. Ten poznawszy swe niebezpieczeństwo cofnął się. Pod Cross Keys w pobliżu Harrisonburga, napotkał Fremont Ewella. Bitwa która nastąpiła, została nierozstrzygniętą. Jackson pobił tymczasem oddziały jenerałów Carrols'a i Tyler'a a w dniu 9 czerwca poczęła cała tamtejsza armia północna cofać się od Shenandoah rzeki.

Główne armie starły się po pierwszy raz w dniu 23 maja pod Mechanicsville, gdzie Konfederaci zostali pobici. McClellan, zamiast korzystać z tego zwycięztwa, ociągał się i pozostał nawet w dość niebezpiecznem stanowisku nad rzeką Chickahominy. W dniu 31 maja 1862 uderzył liczny korpus Konfederarów na część wojska północnego pod jen. Casey, który pomimo dzielnej obrony musiał się cofnąć, utraciwszy trzecią część ludzi. Inny oddział, który mu biegł na pomoc pod jen. Keyes, musiał się także cofnąć, dwom innym oddziałom, nie poszło lepiej. W tem nadbiegł weteran Sumner z dwoma dywizyami i sypnął ogniem kartaczowym na Konfederatów, co ich na chwilę wstrzymało. Lecz niezadługo zebrali się znowu i postępowali naprzód walcząc mężnie, pomimo iż dowódzca ich został ciężko raniony. Dopiero o 8 godzinie wieczorem zdołano przełamać szeregi powstańców atakiem na bagnety, podjętym przez pięć pułków. Nazajutrz (1 czerwca) rozpoczęła się bitwa na nowo; nad wieczorem cofnęli się Konfederaci do Richmondu. Tak zakończyła się bitwa pod Fair Oaks czyli Seven Pines.

Armia Potomac'u leżała przez cały miesiąc nad rzeką Chickahominy. Nad południowcami objął dowództwo jen. Robert Lee, z którym się połączyli Jackson i Ewell. Mając dość liczne siły postanowił uderzyć na armię McClellana, lecz ten postanowił cofnąć się do rzeki James; silny korpus nieprzyjacielski atoli uderzył na prawe jego skrzydło pod jen. Fitz- John Porter. Wszczęła się zacięta bitwa, która się skończyła porażką Konfederatów. Pomimo zwycięztwa tego, cofał się McClellan wciąż ku rzece James; korpus zaś armii jego pod jen. Porter atakowali jen. Richardson i Meagher w pobliżu Cool Arbor. Korpus Portera został już rozbity, gdy w tem nadeszły posiłki. Razem uderzono na nieprzyjaciela pewnego zwycięztwa i wyrugowano go z miejsca pobojowiska. Tak skończyła się bitwa pod Gaines Mills, w której południowcy utracili 5,000 ludzi, Porter 8,000 i 22 armaty.

(Dalszy ciąg nastąpi).